

Stefan Żeromski: Popioły – fragment

To jedna z najbardziej symbolicznych scen w całej powieści – konfrontacja szlachcica, byłego konfederata barskiego, z urzędnikiem habsburskim, komisarzem Hiblem. W „Teologii Politycznej co Tydzień”: „Dąbrowski. Idiom polskości” prezentujemy fragment powieści Stefana Żeromskiego „Popioły”.

Wydarzenia rozgrywają się w dworze Nardzewskiego, wuja Rafała Olbromskiego, głównego bohatera *Popiołów*, w 1797 roku. Spotkanie, przełamujące atmosferę codzienności prowincjonalnego dworu schyłku XVIII wieku, obrazuje zderzenie dwóch porządków: sarmackiego, post-feudalnego świata polskiej szlachty oraz modernizatorskiej i opresywnej zarazem, administracyjnej władzy państw zaborczych. Z elementami tragikomizmu Żeromski ilustruje dramatyczny proces utraty polskiej suwerenności i powolnego rozpadu „starego świata” polskiej szlachty. Mistrzowską interpretację sceny rozmowy zaproponowali Władysław Hańcza i Edmund Fetting w filmie Andrzeja Wajdy (*Popioły*, 1965).

Oprac. Adam Talarowski

ŻEROMSKI. PATRIOTA. INTELIGENT. PISARZ. Weź udział w IX Festiwalu Teologii Politycznej

Był już mrok. W nizinie ukazały się drzewa ciemne, aleje, budynki, światełka w majątku Nardzewskiego. Wkrótce sanie pędem wjechały na dziedziniec i stanęły przed gankiem dworu. Z okien tryskało w noc rżęsiste światło. Gdy konie osadzono, z ganku i z za węglów domu wybiegło kilku ludzi. Jedni wysadzali pana, inni zabierali się do wydobywania z sanek zwierzyny. Na gumnie panował ruch: do spichlerza znoszono w workach omłot dzienny, zadawano bydłu słomę, koniom obrok i siano. Psy podwórzowe, jeszcze uwiązane na łańcuchach, wyły wniebogłosy, czekały myśliwskie kundle, wyżły, jamniki. Jakiś olbrzymi kundys co chwila rzucał się do Rafała, żeby go z czułością liznąć po twarzy.

— Co takie światło na pokojach? — spytał Nardzewski.

— Jakisi przyjechał...

— Kto przyjechał?

— Miemiec czy co. Trudno go ta wyrozumieć. Przyjechali aże z samych Kielc z drugim. Tamtego furmanka powiozła do Bożęcina, a ten ostał i siedzi.

Nardzewski czmychał nosem w sposób wcale niegościnnie. Wreszcie nie mógł wytrzymać i popchnął pierwszego famulusa z brzegu, dodając:

— Diabli cię z twoim Niemcem!

Wśród wściekle szczekającej gromady myśliwi weszli na ganek i do pokojów. Na ich powitanie wstał z za stołu mężczyzna młody jeszcze, wygolony, przystojny, ubrany z dajczerska w krótkie, czarne suknie z kłapami, w grube pończochy i płytkie trzewiki. Kłaniał się zgrabnie, mierząc Nardzewskiego uważnym spojrzeniem. Po chwili rzekł, z trudem wymawiając słowa i śmiesznie je akcentując:

— Czy honor mam z dziedzicem, z jegomością panem Nardzewskim?

— Nardzewski jestem, do usług... Kogóż, jeśli łaska, mam zaszczyt... w tych ubogich... te... progach?

— Moje miano jest Hibl. Z kieleckiego krajzamtu...

— A tak... Miło mi... Racze waszmość rozgościć się jak u siebie. Służę zaraz.

Komisarz Hibl usiadł w obdartym krześle i przy blasku drgającego płomienia dwu świec łożowych, obojętnie, zimnymi oczyma przypatrywał się Rafałowi, który sam na sam zostawiony z gościem przez wuja nie wiedział, co ma robić. Nie zdjął nawet z ramienia swej pojedynki. Dopiero Kacper przyszedł mu z pomocą. Rafał usadowił się w ciemnym rogu dużej stancji i zaraz poczuł, jak mu się straszliwie

chce spać. Głód skręcał mu kiszki, ale senność i nad tym górowała. Oczy chłopca dostrzegały jeszcze „Niemczyka” i płomyki topniejących świec, ale w przedziwnie wielkiej odległości...

Całe stado psów wałęsało się po pokoju. Jedne z nich wskoczyły wnet na sofę przy stole i oko w oko przypatrywały się gościowi, inne rozkładały się na dobre obok wielkiego pieca. Niemen i Wisła, bohaterzy dnia, śmiało układały się do snu w rogu kanapki, która była miejscem spoczynku Rafała. Tymczasem Nardzewski zrzuciwszy lisiurę wyszedł z sąsiedniego pokoju w lżejszych butach i łosiej kurcie ze srebrnymi guzami. Twarz jego była czerwona i oczy przekrwione od wiatru. Siadł przy stole naprzeciwko niemieckiego przybysza. Nim znowu zaczął z nim rozmawiać, rzucił rozkaz:

— Wieczera!

Kacper znikł we drzwiach wejścia, prowadzących do sieni i kuchni na drugiej stronie wielkiego dworu.

— Siadaj, Rafale — rzekł Nardzewski.

Zwracając się do Hibla, przydał:

— Mój siostrzeniec, Olbromski, z Sandomierskiego. Na poetyce w szkołach sandomierskich *iuventutem* marnuje...

Gość skłonił się w milczeniu, nie podnosząc oczu. Nardzewski patrzył weń nieruchomym spojrzeniem, w którego wyrazie nie było cienia przyjaźni.

— Rad bym wiedział — rzekł z cicha, uprzejmie i prawie z pokorą — czy mamy zaszczyt należeć do tej samej nacji, co waszmość, panie komisarzu, czyli też, niestety...

Przeczytaj również: Ponowiona lektura „Popiołów” Stefana Żeromskiego. Maria Jolanta Olszewska

Obcy podniósł głowę. Uśmiech nieokreślony wypłynął na jego wargi. Rzekł ostrożnie, z namysłem:

— Jestem w mieście stołecznym, Wiedniu, urodzony. Tam mój ojciec zamieszkały był, gdy przybył z czeskiej strony...

— Z czeskiej strony? proszę...

— Tak jest. My są Słowianie.

— Rozumiem.

— Kiedy ja byłem sześć lat stary, rodzice moi przybyli do Wschodniej Galicji i w jarosławskim krajzamacie osiedli. Tam się wychowałem. Ojciec mój był mandatariuszem w dobrach księcia Olelkowicza.

— I to rozumiem.

— Teraz ja... Ja jestem prawie Galicjanin. Wiednia nie pamiętam, umiem po polsku.

— Doprawdy?

— Bardzo jestem przywiązany do tutejszych zachodniogaliczyjskich obywatelów i do tego kraju Zachodniej Galicji. Ja do tego kraju ze Lwowa wydelegowany, kiedy po nieszczęśliwych przypadkach i smutnych zamieszkach ten kraj używać nareszcie zaczął błogiej pomyślności pod panowaniem Najjaśniejszego cesarza i króla Franciszka Wtórego, zostałem.

— Toś waćpan dobrze powiedział.

— Bardzo to jest piękny kraj!

— A tak, dosyć piękny, tylko trochę niewesoły i, jak to sam spostrzegłeś, złej konduity... — mówił szlachcic kiwając głową.

— Na lepszym pożytkowaniu ról zbywa... — nieśmiało wtrącił urzędnik.

— Żadne drogi tu są, osobliwie w kieleckim krajzamacie. Ach, co za drogi! Ja myślałem, że tylko w Karpackich Wielkogórach takie drogi bywają.

— To są, mości panie, polskie drogi. Ale jakoś i takimi zajedzie, skoro się uprzeć. Co mówię? Wjedzie tam, gdzie, zdawałoby się, tylko czarownica na łopacie doleci...

Dalszą rozmowę przerwało wkroczenie wieczery. Drzwi się otwarły i tłusta gospodyni wniosła salaterki z kiełbasą w zawieszonym sosie. Dwie dziewczki niosły półmiski z kartoflami, suto kraszonymi skwarkami słoniny. W mgnieniu oka stół nakryto obrusem i ustawiono fajansowe, powyszczerbiane talerze. Sztućce były bardzo pospolite, w oprawie z jeleniego rogu. Gość ostrożnie zabrał się do niewielkiego kawałka kiełbasy, a resztę momentalnie podzielili między siebie myśliwi, zgłodniałi po całodziennych marszach i poście. Dymiące kartofle znikły. Znikła także druga potrawa: zajac pieczony na rożnie. Przy drzwiach stał wciąż strzelec Kacper i łykał ślinę, aż mu się grdyka ruszała. Zajęty był wykręcaniem ze strzelb naboju i przemywaniem luf ciepłą wodą.

**Przeczytaj również: Stefan Żeromski - prorok polskiej
niepodległości. Maria Jolanta Olszewska**

Rafał, słysząc pociągającą muzykę szorowania wnętrza flint mokrymi pakułami okręconymi o stempel, nie tknął już wina, którego kieliszek wuj mu podsuwał. Przysiadł w kucki obok strzelca i sennymi oczyma patrzył, jak czarna woda strzyka w miskę z panewek. Nudziła go rozmowa i obecność Niemca, a spać jeszcze nie było sposobu, gdyż słano mu zawsze w tym właśnie pokoju na sofie.

— Waszmość dobrodziej hoduje, jak widzę, piękne psy. To bardzo piękne psy są — mówił przybysz, głaszcząc z widoczną odrazą łeb Niemna, który mu poufale na kolanach łapy opierał.

— A niezłe psiska. Dziś się już podstarzały, ale jeszcze z pola nie schodzą. Jeszcze i cuch, i rozum przedni mają. Osobliwie suka. Chodź no tu do pana. Wiselka.

Przygarnął sukę i gładził ją pieszczotliwie.

— Ona to wydaje się na oko niby melancholiczka, a to jest psisko bardzo a bardzo wietrzne i gońca pierwszej wody. I on tam, Niemen, ma ochotę i upór, ale za nią tylko poprawia. Spójrzysz no waszmość, co to za przestronne nozdrza! jakie wilgotne! Jak waści pies takim nosem wiatr weźmie, to tam już ma co trąbą podać do mózgu. A jaki za to u tego grzbiet! Bo i pieczeniasty, i długi, zważ waćpan. A za to u tej... noga. Co? Stopka podługowata, widzisz waćpan? Ona mi się jeszcze ani razu nie podbiła...

— Ale! — wtrącił Kacper — gdzie się to taka suka podbije. To idzie po śniegu czy po grudzie jak ten lis.

— On, choć jest pies cnotliwy, nieraz się znosi i milczkiem, zdrajca, nakłada, a ją zawsze słychać: idzie równo lasami jak dyliżans po gościńcu. Głos jak u młodej wdówki. Co ona wiatrem i prędeją, to ten musi kopytem, leniwiej, na rozum i nie tak rączo, a za nią, za nią!

— To bardzo piękne psy... A czy i tamte kundle także jakie zalety mają?
— z odzieniem ironii pytał Hibl wskazując wielkie kudłate psiska pod piecem.

— Tamte? A to samo psy zacne. Na dzika — jedyne! Toż zeszłego roku w samą wilię wzięliśmy z nimi dzika prawie żywcem.

— Aż tak? — dziwił się Galicjanin.

— Byliśmy we dwu z tym oto strzelcem.. Wyszlakował był dziki w lasach, tu na Bukowej Górze. Nocowały w małym smugu, w oparzeliskach. Poszliśmy raniuteńskiego. Puściliśmy te pieski w zagajnik. Cicho, cicho... Aż jak wrzaśnie oto ten — Rozbój; aj-aj-aj! Na oko wszystkie i zębami! Wygnały dzika tylego jak bawół wprost na niego, na Kacpra. No, zaczął mierzyć, celować, przykładać się i, dasz waćpan wiarę? — chybił. *Artifex!* On i takie sztuki potrafi, choć przecie ze mną trzydzieści lat za zwierzem chodzi, a chwali się, że kszykowi, jaskółce w lot nie zborguje. A psy swoje: stanowią dzika w głębokich śniegach. Żebyś waszmość widział ten obraz! Jeden się wszczepił w ucho, przelazł na bałyku przez bestię i wisi, ani piśnie. A ślepie u niego — żywa krew! Drugi trzyma za lewe ucho; przednimi łapami worał się w śnieg, w ziemię, i nie popuszcza. Trzeci, Kusy, dopada, dopada... Dzik toto wszystko wlecze na sobie i brnie śniegami. Ale kłem, rozumiesz to waszmość, nie może, ani ani, bo Rozbój... Czasem tylko dmuchnie nosem albo ciapnie pyskiem... Ja tu strzelić nie mogę, bobym psa, czego Boże broń, zabił. A już wolałbym sobie w nogę palnąć niż w takiego psa. No, a dzik mi idzie w lasy i my jak głupcy za nim. Dopiero się przecie mój Kacperek odważył. Przeżegnał się i wlażł na dzika okrakiem, siadł

se na nim mocno jak na koniu, obcasy wparł w ziemię. Tym oto kozikiem, co go ma u pasa, zaczął mu podrzynać gardziołek. Naśmiałem się też wtedy! Bo to jechał na dziku ze siedem pacierzy, nim mu wszystkie żyły i *arterias* poprzerzynał.

— Szelma też to była sroga, choć i ten dzik! — westchnął Kacper. — Znałem ja się z nim! Dopadł ci mię on jednego razu na Cisowskiem, a jak mię zaorał kłem po łydach, to do samej kości mięso ozdaruł, jak cygankiem, aże w kolano. Pod siebie mię przecie o mało nie wziął, ciortu brat, bom go się był bardzo przeląkł. Teraz jeszcze, jak se spomnieć, to człowiekowi *seremno*. A ja już bywałem pod dzikiem. Już mi ta jeden orał kozuch na plecach to prawym to lewym kielcem, i deptał po mnie raciami: z tego wiem, co taki ma w sobie za siłę! Świnia! Ślepiem na mnie, zatracony, pojrzał tylim, jak żołędzia łupina a krew człowiekowi w żyłach zmarzła i w gardzieli głos zatkało... Alem ja i tamtego to samo połechtął po szyjce...

— Ba! my tu rozprawiamy — wtrącił Nardzewski — a waszmość, panie komisarzu, może i owo zgoła nie myśliwy?

— Ja wcale myśliwy nie jestem. Gdzież czas na takie zabawy znaleźć bym mógł? Zawsze na służbie.. Oto i teraz delegowany na komisję do wielmożnego pana, jako do zwierzchności gruntowej, jestem.

— Do mnie? Na komisją?

— Tak jest.

— A w jakiejże sprawie, jeśli łaska?

— Spraw bardzo wiele.

— Nawet bardzo wiele. To ciekawe...

— Czy możemy zacząć w tej chwili?

— Noc to... Ale proszę, proszę...

— Ja przybyłem za dnia i czekałem cierpliwie. Jutro muszę jechać dalej.

— Toteż ciekawie słucham.

— *Primo*, konskrypcja dusz.

— Dusz konskrypcja? Chłopskich?

— Tak jest.

— Słyszane rzeczy!

— Baron von Lipowski, pierwszy cyrkulowy komisarz kieleckiego krajzamtu, nie mogąc sam osobiście, mnie wysyła...

— A cóż waszmościom, u Boga Ojca, do moich chłopów?

Urzędnik z lekka a szczerze uśmiechnął się nie podnosząc oczu. Nie odpowiedział też na to pytanie, lecz zadał inne:

— Czy wielmożny pan na fundamencie dekretu ratę ofiary styczniowej dziesiątego i dwudziestego grosza na ręce egzaktora w Chęcinach, urodzonego Czaplickiego, zapłacił był?

— Ratę ofiary? Cóż to za ofiara?

— Po wstąpieniu wojsk Jego Cesarskiej i Królewskiej Mości w kraj tutejszy — mówił urzędnik głosem kaznodziejskim — odezwę do obywatelów feldcajgmajster de Foullon z żądaniem składania ofiary bez najmniejszej zwłoki wydał był. W styczniu zeszłego, 1796 roku przez duchownych z ambon ten cyrkularz publikowany jest, a każdy pleban udzielał go obywatelom za rewersem. Czy wielmożny pan to *publicandum* otrzymał?

— Być może. Ale ja do papierów żadnej zgoła wagi nie przywiązuję. Mnie papier potrzebny tylko na przybicie prochu i śrutu, i to jeszcze przekładam flejtuchy z pakuł nad papierowe.

— Otóż, przeciw lepszemu spodziewaniu, wielmożny pan jeden z niewielu zaległ w opłacie.

Nardzewski siedział na swym krześle z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego, schłostana przez wiatry, była teraz szkarłatna, wargi odęte. Milczał długo.

— Bardzo być może... przeciw lepszemu spodziewaniu — wycodził wreszcie przez zęby.

— To *ad primum*. A teraz co do *homagium*. Pan baron von Lipowski, pierwszy cesarski komisarz kieleckiego krajzamtu, żebym wyraził wielmożnemu panu niezadowolenie z powodu jego absentowania się w tej tak ważnej sprawie, polecił mi być.

— Do diaska! siła grzechów, jak widzę, ciąży na moim sumieniu...

— Tak jest. Wielmożny pan nie tylko nie udał się osobiście do Krakowa...

— Ja do Krakowa! Ale czegoż to waszmość wymagasz ode mnie?

— To nie było wymagane.

— Nie wymagane znowu! Więc jak?

— To było oczekiwane od obywatelów.

— Raz wymagane, drugi raz oczekiwane!... Ja, mości panie, trzydzieści lat z tych oto Wyrw nie wyjeżdżałem i nie wyjadę. Nie wyjadę, chociażby kije z nieba leciały! Tu siedzę i skończona rzecz. O niczym nie wiem... A pierwszy von Lipowski komisarz... Mam już dość Krakowa — i wszystkiego świata!

— To wszystko bardzo być może...

— Ostatni raz byłem w Krakowie *anno Domini* 1768. Porachuj no waszmość, ile to lat.

— Rzeczywiście — wykrztusił Hibl przeglądając jakieś papiery.

— Dawne to już, ubiegłe czasy, mości panie. Jeszcze wówczas wasze nawet Wschodnich Galicjów nie oglądał.

— Wielmożny pan tam do szkół zapewne?... — mówił urzędnik segregując w dalszym ciągu stosy swych notat.

— Do szkół? Ale co znowu! Ja szkoły traktowałem w Sandomierzu, w sławnym po wsze czasy kolegium ojców jezuitów, choć już z niego ani dymu, ani popiołu. Ale nie do nauk byłem stworzony. Szczerze mówiąc, ledwie się przez infimę, gramatykę i *syntaxim* przebił nie bez trudu, a poetyki i retoryki owo zgoła zaniechałem. Kraków!... — mówił w zadumie — nigdy tam moja noga nie postanie. To waszmość możesz oświadczyć pierwszemu baronowi z czegoś tam kieleckiego.

— Z kieleckiego cyrkułu — wyraźnie i zimno oświadczył urzędnik.

— Mnie te nazwy ani pachną, ani śmierdzą...

Hibl nieznacznie coś zanotował w pugilaresiku.

— Powiem waćpanu — ciągnął szlachcic — czemu Krakowa nie lubię. Sam pojdziesz.

— Proszę, proszę...

— W młodocianym wieku osierocony przez rodziców, wzięty byłem przez opiekuna całej mojej puścizny, krajczego — Panie świeć nad jego duszą! — Olchowskiego ze szkół, gdzie się tyle że wałkonił i po wagarach chodził. Na dworze jego, w Sieprawicach, młodość strawiłem. Siostrę moją, matkę tego oto młodzieńca, wychowała nieboszczka krajczyna. Pan Olchowski, jako sam człek ongi rycerski, bo z królem Janem bywał, widząc we mnie ochotę do szabli, udzielił mi

błogosławieństwa w imieniu rodziców, a na znak i zakład posłuszeństwa *antiquo more* kazał rozciągnąć na kobiercu i własną swą senatorską ręką wyliczył mi pięćdziesiąt batogów. Zaraz też sto obrączkowych wsypał do trzosika, dał dwu pocztowych, dwa konie wierzchowe jak diabły, ryngraf na piersi, i sam odwiózł do chorągwi pancерnej, co się wówczas uwijała koło Miechowa. Wtedy oto pierwszy raz widziałem Kraków. A ostatni raz, ostatni... I niech go tam jasne pioruny spalą, cały wasz Kraków! Więcej tego wszystkiego kosztować nie myślę...

Gość zaśmiał się z cicha, chytrze rozszerzając powieki. Szepnął z udanym zdziwieniem:

— Dlaczego? Wielmożny pan obiecał wyjaśnić...

Szlachcic słyszał ten okrzyk i widział uśmiech, ale niezrażony mówił dalej:

— Dlaczego? A no dlatego... Wytrzymałem był w tym Krakowie oblężenie pospołu z bracią z województwa sandomierskiego, krakowskiego jako też i ziemi sanockiej. Wytrzymałem dziesięcioniedzielny szturm do miasta. Byłem przytomny, kiedy nieprzyjaciel zdradą wpuszczony był do grodu, a my wszyscy sromotnie poddać się przymuszeni byliśmy. Złożyliśmy jak barany rynsztunek wojenny i dwie niedziel zamknięci w zamku krakowskim czekaliśmy na rezolucję, co też z nami uczynią. Trzy nasze związki konfederackie, Boże mój, Panie miłosierny! rozłączono, a każdy do innej sali na zamku graf zamknąć kazał. A skorośmy do tych sal weszli, warta z ukrytych

miejsc pokazała się, u drzwi i okien miejsca zajmując. Nazajutrz przyszedł placmajor z rezolucją, ażebyśmy do podróży byli gotowi. Dwustu siedemdziesięciu nas samej szlachty oficjerów w marsz wyszło przez Grodzką Bramę. A za oną bramą zastaliśmy konwój z karabinierów. Ci nas wiedli błotami i drogą złą w naznaczoną podróż. Później dopiero dano nam podwody i tak oto z wolna jechaliśmy w oczach ludzkich przez Skalbmierz, Staszów, Iwaniska... Za Staszowem idzie tam droga szeroka lasem... No, mój ta już był blisko kraj. Z dała Święty Krzyż widać... Zdarzył się był nocleg w miasteczku Bogoryi. Dokoła zajazdu, gdzie my w stajniach pokotem leżeli, warta czuwała. Wstałem ja w późną noc, przyszedłem do karabiniera pierś w pierś, gdy się nie spodział, i wziąłem mu z rąk broń siłą a w mgnieniu oka.

Przeczytaj również: Prof. Andrzej Mencwel o myśli Stefana Żeromskiego

— Spał? — cicho szepnął urzędnik.

— Co miał spać?... Czuwał!

— Więc jakże?

Szlachcic uśmiechnął się boleśnie i strzepnął palcami.

— Nie pamiętam już dobrze, jak się to stało... Dość, że mię... te... puścił. Rzuciłem się we drzwi, między domostwa, wypadłem w pola i dopiero co mocy w nogach! Gwałt uczynili żołnierzykowie, dalej sypać za mną w ciemności kulami, tylko mi koło uszu gwizdały. Ręka Boska

odegnała... Lasami przyszedłem do tych moich Wyrw bosy, obdarty do naga, głodny. A stanąwszy w tych progach, takem sobie rzekł: „Teraz Ci, Panie Jezu, ślubuję, że już nie wyjdę!”. Otóż i siedzę jak leśny wilk. Widzisz waszmość, że jadłem dość w tym Krakowie chleba, na poły z plewami spieczonego... Zważ waszmość, że działa się ta sprawa w roku Pańskim 1768. Gdzież mnie teraz do Krakowa? Co bym tam ujrzał?

— Wielkie zmiany, pożądane zmiany. Ten dzień 17 sierpnia zeszłego roku na zawsze zostanie w pamięci wszystkich, co go widzieli. Najprzedniejsze obywatelstwo Zachodniej Galicji zgłaszało się do nadwornego komisarza, pana barona Margelika, z życzeniem asystowania przy wjeździe jegomości pana hołdowniczego, księcia Auersperga.

— Najprzedniejsze obywatelstwo, mówisz waszmość? Patrzajcież!

— Tak jest. Nie wszyscy mogli być przyjęci, osobliwie na dzień samego wjazdu 9 sierpnia. Co to za festyn był! Szły naprzód ku miastu przez most z przedmieścia Josephstadtu...

— Skąd, proszę?

— Od przedmieścia Podgórze dawniej zwanego.

— Dawniej zwanego!... a teraz Josephstadtu...

— Cechy, korpus kawalerii, stangreci obywatelów asystujących bez koni naręcznych, berajterowie, trębacze, później szlachta polska na pięknych koniach...

— Berajterowie, trębacze i szlachta polska na pięknych koniach...

— Damy polskie w powozach, dwór jegomości pana hołdowniczego, wreszcie on sam — i znowu korpus kawalerii.

— Piękne widowisko, przez Bóg żywy!

— A w dniu hołdu! Od pałacu Spiskiego do kościoła Panny Marii i do katedry na Wawelu stanęła infanteria i kawaleria w prostych liniach. Wyszli mieszczanie ze swymi cechami, świeckie i zakonne duchowieństwo, deputowani z cyrkułów i wszystka obecna szlachta w paradnych strojach, dalej personel Gubernium krajowego, wszystkie urzędy, Akademia. Wszyscy uszykowali się w swych miejscach. Cisza jest, bardzo wielka cisza. Wtedy począł dzwonić na Wawelu wielki, starodawny dzwon Zygmunt.

Nardzewski słuchał uważnie. Z podziwu czy zachwyty głowa jego chwiała się na prawo i na lewo, a z gardła dobywał się co chwila przemocą trzymany głos.

— W wieczór — ciągnął komisarz — było całe miasto iluminowane, a w Sukiennicach książę jegomość Auersperg dał wielki bal, gdzie się aż do samego rana bawiono. Zjazd był tak wielki z obydwóch Galicjów, że Sukiennice nie mogły wszystkich gości ogarnąć. Blisko sześć tysięcy szlachty w nich się z największą radością bawiło. Przy stole były spełnione toasty z wielkim zapalem, przy odgłosie armat...

Nardzewski wciąż śmiał się. W pewnej chwili mruknął nie odwracając głowy.

— Zawieś mi kartę.

Strzelec natychmiast porzucił rozkręcone strzelby i do wahadła zegara, który naprzeciwko miejsca, gdzie siedział Nardzewski, wisiał na ścianie, przyczepił asa żołędneho. To uczyniwszy, prędkimi kroki i z obawą, jakby się paliło, pobiegł do sąsiedniej izby, przyniósł stamtąd dwa piękne pistolety dziwerowane, z kolbami bogato srebrem nabijanymi, i położył je przed dziedzicem na stole.

— Kontynuuj waszmość, jeśli łaska... Miło mi słuchać tego, co mówisz, miło mi, przez Bóg żywy! He-he... Więc tedy powiadasz jako wiarogodny świadek, że sześć tysięcy najprzedniejszej szlachty do rana z radości hulało, że te... I toasty, i okrzyki... A królewski, starodawny dzwon Zygmunt...

Urządник zamilkł i zbladł. Oczy jego kilkakroć błysnęły złowrogo i znowu skryły się pod powiekami. Prawa ręka ociężałym ruchem skradła się w zanadrze jedwabnej sukni i wydobyla stamtąd wąski, wenecki sztylet tak szybko, że ten ruch ledwie zdołały pochwycić bystre oczy Rafała. Nardzewski ciągnął:

— Mówże waszmość, miłościwy panie, z łaski swej... Niech i moje serce napoi się po brzegi radością tych dni! Ja tu w lasach, pośród wilków i lisów żywiąc, gdym rad, strzelam do tego znaku. Waszmości pewno dym prochowy nie szkodzi... Cha-cha... Na wiwat!

To rzekłszy ujął pierwszy z brzegu pistolet i spojrzał w oczy Niemca. Po twarzy snuł mu się uśmiech, a spomiędzy warg wypadał szorstki ów chichot, podobny także do czkawki czy łkania.

Hibl miał twarz spokojną, tylko jakby stężałą. Prawe jego oko było przymknięte i dolna szczeka nieco wysunięta. Mówił z wolna, głosem pewnym i spokojnym:

— Cały ten wiekopomny akt przysięgi na wierność monarchom dynastii Habsburskiej odbył się w największym porządku.

Nardzewski podniósł pistolet i strzelił.

Dym napełnił pokój. Wapno przez kilka chwil sypało się ze ścian i powały.

Rafał podszedł do zegara i sprawdził, że czarny znak żółędnego asa był z karty wystrzelony. Gdy się dym rozwiął i zaczął odpływać do izb przyległych, młody chłopiec ujrzał w polu odchyleń wahadła mnóstwo kul, które siedziały w modrzewiowych belkach. Niektóre były wpakowane jedna na drugą i rozpłaszczone.

Komisarz nie interesował się wcale wynikiem strzału. Siedział na swoim miejscu i kiedy niekiedy machał ręką dla odpędzenia dymu. Widząc, że Kacper z pośpiechem nabija wystrzelony pistolet, mówił oschle, wyraźnie i śmiało:

— Mnie dym prochowy nie szkodzi, ale może wielmożny dziedzić zaniecha strzałów. Jeszcze ważne sprawy... Podług osnowy rozkazu mej władzy ogłaszam jako zwierzchności gruntowej, że liczba dni roboczych, jakie odtąd komornicy świadczyć będą rocznie bez różnicy płci, trzynaście, a liczba dni chałupników dwadzieścia sześć wynosić ma. Chłopi posiadający grunta, o ile płacą określone podatki, pracować na rzecz wielmożnego pana nie więcej nad trzy dni w tygodniu mają. Dłużej jak osiem godzin w zimie, a dwanaście w lecie żaden pracownik w polu czy w gumnie robić obowiązany nie jest. Święto, gdy przypada w dzień pańszczyźniany, liczy się na korzyść pracowitego chłopca.

— No i cóż jeszcze? — mruknął Nardzewski.

— *Presshafte Leute* — mówił urzędnik — to znaczy podupadli na zdrowiu, starcy powyżej lat sześćdziesięciu wolni od robocizny być mają.

Nardzewski znowu ujął pistolet i strzelił. Nie czekając nim się dym rozejdzie, wyrwał broń z rąk strzelca. Ostatni słuchał tak ciekawie tego, co mówił urzędnik, że ledwie ruch pana spostrzegł.

— Nabijaj! — wrzasnął Nardzewski — bo ci tu na miejscu łeb roztrzaskam!

— Żaden poddany...

— Co jeszcze? Co jeszcze?

— Aby żaden kmieć, skrzywdzony przez pana, żadną drogą samowładnie sprawiedliwości dla siebie forytować nie ośmielił się, rozporządzono jest, żeby do krajzamtu w Kielcach, wprost do pełnomocnego komisarza ze skargą szedł — ciągnął urzędnik głosem ochrypłym, ukryty już prawie w dymie prochowym.

— Niechaj spróbuje!

— Rozporządzono dalej...

— Co waszmość chcesz mówić? — z cicha, głosem suchym rzekł szlachcic wstając ze swego miejsca. — Ja tu jestem panem, ja prawem! Naddziady tu moje siedziały... Moja to jest ziemia i moi ludzie. Te

Wyrwy to jest mój kraj. Mój i niczyj więcej! I przez Boga żywego tu nikt...

Komisarz śmiał się.

— Za Jana Kazimierza, po wojnach, przybył tu prapradziad mój, Józef, i te pustki lasami porośłe kupił za grosz w boju na kresach ranami zdobyty. Sam własną ręką, wyszorowaną w ciągu lat przez pancierz i rękawicę, karczował te role, rwał pniaki i jałowce. Sam zrównał nowiny, wyniósł kamienie. Idź waść i obacz one kamionki dokoła moich pól! Latami ten człowiek... Na tych to rolach moje chłopcy siedzą. Nie miał na zawołanie najemników, a choćby i byli, to czymże by ich opłacił? Przyszli za nim ludzie bezpańscy z dobrawoli, nędzarze przymierający głodem, i za kawały gruntu, za budynki i gospodarski dobytek zobowiązali się do stałej daniny w pracy. Lepiejże im może było tułać się po słotach, nie mieć dachu nad głową? Lepiej było poniewierać się w czeladzi po dużych dworach, czyli też siedzieć tu w jasnych domostwach, na świętej, pospólnej ziemi, z której nie płacili przecie pieniędzy? Żyli tu jako jedna rodzina. Babka moja, jak zapamiętam, matka i moja, Panie, świeć nad jej duszą, żona, były ich lekarkami. Spytaj waszmość, kogo chcesz, czy i ja sam, choćem człek twardy...

Hibl kiwał głową.

— Jeśli zagrodnik trzysta zagonów roli pańskiej posiada — mówił z uśmiechem ironii — niech płaci od każdego zagona po groszy miedzianych trzy, jak jest zwyczaj. Przypadnie za wszystkę jego rolę

złotych sześćdziesiąt. Rachujmy dzień roboczy najtaniej po groszy miedzianych piętnaście, przypadnie za wszystkie dni robocze w roku złotych siedemdziesiąt osiem. Dobrze mówię?

— Mów wasan.

— To jakże? Gdzież reszta? Kto bierze osiemnaście złotych? A przecież to nie koniec! Muszą przecie nadto stróżę po nocach odbywać, na posyłki chodzić. A daniny? Za cóż jeszcze daniny składają? Czy także z gruntu pradziadowskiego? Przecie go pracą na pańskim z czubem okupili. Dają różne gatunki zboża, dają kury, jaja, połowę miodu od pszczoł, muszą znosić do dworu określoną ilość lnu, jagód, orzechów, grzybów. Nawet gdy się orzech w lasach nie urodzi, dać go muszą, bo tak prapradziadom za Jana Kazimierza dawali.

Nardzewski słuchał tego wszystkiego jakby w osłupieniu. Ręce jego bezwładnie leżały na pistoletach.

Rzekł spokojnie:

— Skądże to waszmość wiesz? Skąd wiesz? Drażnisz mię licząc na to, żeś pod dachem szlachcica polskiego... Ale, przez Boga żywego, nie czyni tego dłużej.

— Ja się broni nabitej nie boję... — rzekł komisarz z dumą, wstając ze swego miejsca.

Po chwili zwrócił się do strzelca ze słowami:

— Zawiadomić wójta i ławników, żeby się jutro cała wieś zgromadziła na dziedzińcu dworskim. Urzędowe rozporządzenia przeczytane będą. *Ad tertium...* Co do gromadzkiego spichlerza...

Nardzewski spojrzął na strzelca okropnymi oczyma i z cicha mówił:

— Niech mi Jawor obębni po wsi, że jutro mają się zejść wszyscy, kto żyw. Na mój rozkaz, słyszałeś! Będzie brał karę Tomek Zalesiak za to, że się dobierał do mego lamusa. Otrzyma przy całej wsi i w oczach tego oto pana komisarza sto pięćdziesiąt miotełek brzozowych, jak za Jana Kazimierza, Michała Korybuta i innych bywało.

— Oświadczam uroczyście wielmożnemu panu, że to się nie stanie — mówił komisarz. — Bić zabrania się wszelką miarą. A teraz pragnąłbym udać się na spoczynek.

Szlachcic konwulsyjnie chwycił się za głowę i coś jak szczekanie wyłamało się z jego zduszonej gardzieli. Wstał ze swego miejsca i zaczął chodzić po izbie z rękoma w kieszeniach rajtuzów. Twarz jego była straszna, o kolorze dymu, który ją owiewał. Co pewien czas piersi jego jęk wstrząsał, a wargi ciskały wyrazy bez związku.

Stefan Żeromski

Przeczytaj również: Dąbrowski. Idiom polskości (TPCT 487)